TYGODNIOWY PRZEGLĄD LITERACKI KOŁA • PISARZY • Z • POLSKI

Rok II. Nr.45 /53/ 151 East 67 Street, New York, N.Y. 5.XI.1942

Moje flirty z Melpomena.

Marysia Modzelewska o jakże współczesnym, nerwowym i jakże zarazem zdrowym uroku, Zosia Nakoneczna piękna jak portret angielski, Karin Tiche, w której zarazem poetycznych i zaczepnych oczach przebłyskuje świetność iluż jej przyszłych ról: może Violi, może nawet Julii, każą mi pisać nagwałt, zaraz, najutro artykuł o ich teatrze, artykuł podobno bardzo potrzebny, z którym nie można zwlekać, bo za parę tygodni premiera a tutaj w prasie cicho jak makiem zasiał, bo nowa placówka, bo nikt nie chce dla teatru nic zrobić; słowem, sprawa jest odrazu postawiona na ostrzu noża i biada mi, gdybym chciał się wykręcić. Nie wykręcam się, ale inne terminowe roboty nie dają mi długo przez siebie przebrnąć, następuje więc nowy atak, przyczym dowiaduje się, że jeśli i tym razem zrobię zawód, to będę "ostatnią świnią" co w języku przyjaźni oznacza oczywiście same najczulsze rzeczy; jednocześnie dochodzi mnie czuła kartka z podpisem samej dyrektorki Marysi Modzelewskiej, kusząca nieokreśloną obietnicą zbiorowej wdzięczności. Jestem pewny, że gdyby wszystkie nasze urzędy miały taką propagandę świat od rana do nocy słyszałby tylko o Polsce. Kiedy jednak biorę pióro do ręki nietylko aby spełnić, jak to się mówi, obywatelski obowiązek względem nowego teatru, rodzącego się wśród iście redutowego zapału, ale przedewszystkiem, aby idąc za potrzebą serca najgoręcej i z najgłębszem przekonaniem przemówić do naszych rodaków za doskonałymi artystami, którzy ten teatr tworzą, którzy chcą w nim dawać prawdziwą a przystępną sztukę - czuję już przy pierwszych napisanych słowach, że nie mogę uderzyć w ton obywatelski i uroczysty; poprostu sprawa jest mi zbyt bliska, abym mógł mówić o niej tym tonem; wspomnienia iluż lat cisną mi się bezładnie na pamięć; daremnie chciałbym im się oprzeć, gdziekolwiek pójdę myślą w przeszłość wszędzie widzę blask od rampy, słyszę płynące ze sceny słowo, czuję woń szminki i zeschłych wieńców.

Niema rady: poważny, obywatelski artykuł stanowczo mi się tym razem nie uda; co gorzej, czuję, że znów będę pisał o sobie, na co jedno tylko mógłbym znaleźć usprawiedliwienie, to, którem bohater pewnej komedii francuskiej odpowiada ukochanej na pytanie, czemu wciąż mówi tylko o sobie, "Mówię o sobie, bo Cię kocham".

Jak wszyscy warszawiacy mego pokolenia i wszystkich je poprzedzających, od najwcześniejszego dzieciństwa kochałem teatr miłością prawdziwą, to znaczy dramatyczną i pełną przygód, gdyż pierwszych parę lat mego bywania w teatrze spędziłem na paradyzie teatrów Wielkiego i Rozmaitości, skąd, jak wiadomo, najczęściej widać było tylko nogi aktorów, tak że wzruszenie, które odczuwałem zawsze przed podniesieniem kurtyny, było dla mnie wtedy połączone z niepewnością, czy będę cośkolwiek widział, niepewnością, jakże zwiększającą urok teatru.

Miałem chyba dziesięć lat, kiedy moja matka zaprowadziła mnie na "Szkołę obmowy" Sheridana, dawaną popołudniu jako przedstawienie "dla młodzieży". Siedzieliśmy właśnie bardzo wysoko, tak że niewiele widziałem, słabo słyszałem, przedewszystkiem zaś nic prawie nie rozumiałem z tego, co się dzieje na scenie poza tym, że jacyś panowie i panie we francuskich, jak się to mówiło, strojach / pamiętam,że grali wtenczas:Ludowa, Siennicka i Wolski/ strasznie się śmieli, chowali za parawanem, poczym ten parawan upadł i była jakaś wielka awantura; nigdy potem nie widziałem tej sztuki, tak że dotąd nie wiem o co tam chodziło.

W pewnym momencie moja matka, która, jak uważałem, cały czas zachowywała się bardzo dziwnie, wzięła mnie za rękę i pomimo próśb,aby zostać, gdyż sztuka, choć niezrozumiała, była przecież "przedstawieniem", wyprowadziła mnie z teatru. Po drodze dowiedziałem się, że nie było to widowisko odpowiednie dla mnie, z wieczornej zaś rozmowy rodziców w domu po raz pierwszy chyba zasłyszałem słowo "niemoralny" zastosowane najzacniej ale pewno i najsprawiedliwiej do tej sztuki. Dopiero w parę dobrych lat potym miałem zrozumieć na czem polega "niemoralność".

Największe wzruszenia teatralne mego dzieciństwa zawarte były, jak wzruszenia miłości, w oczekiwaniu i wspomnieniu. Z premiery "Kupca Weneckiego" dawanej w teatrze Wielkim na jubileusz świetnego epizodycznego aktora Szymanowskiego, dużo nie dowidziałem i nie dosłyszałem, pamiętam jednak, nie wiem dlaczego, głos cudownego aktora Wostrowskiego, który grał Lorenza i dziś jeszcze mógłbym oddać intonację tego głosu,gdy wołał:"Jest tam kto?" i gdy deklamował owe czarowne słowa:"W taką to noc piękna Jessyka".

Na jubileuszu Frenkla siedziałem fatalnie a właściwie stałem w przejściu bocznem galerii czwartego piętra, zduszony w tłumie takich samych jak ja męczenników i entuzjastów. Jakiś pijany wielbiciel Frenkla od pierwszej chwili denerwował się, że jubilat nie ukazuje się na scenie na co oczywiście nic nie można było zaradzić, gdyż dawano "Tartuffe'a", który, jak wiadomo, wychodzi dopiero w trzecim akcie. Kiedy, pomimo dyskretnych wezwań, Tartuffe w dalszym ciągu się nie pojawiał, niecierpliwy jegomość złożył poprostu ręce w trąbkę i na cały głos zawołał:"My Frenkla widzieć chcemy!"

Nie wiem, czy bardzobym przesadził, gdybym powiedział, że pamiętam obsadę wszystkich sztuk, które wtedy widziałem, co więcej, obsadę wielu takich, które wtedy grano, ale na które nie dawano mi chodzić, bo były nie "dla młodzieży". Ilekroć próbuję sobie przypomnieć te afisze, rzadko kiedy pamięć mnie zawiedzie: więc np. pamiętam w "Kupcu Weneckim" grali: Kamiński, Brydziński, Wostrowski, Wilczyński, Rapacki, Owerłło, Kowalski, Knake-Zawadzki, Roland, Janusz, Przybyłko, Sulima, Tekla Trapszo, albo w "Pannie Maliczewskiej", o której zobaczeniu mogłem wtedy tylko marzyć jak o zakazanym owocu: Ordon-Sosnowska /z Lubicz-Sarnowską na zmianę/, Pichorówna, Żółkowska, Wojdałowicz, Brydziński, Lenczewski. Nie będę ukrywał, że nazwisk różnych naszych byłych ministrów nie mógłbym równie dobrze wyliczyć.

Przełomem w moim życiu bywalca teatralnego była przyjaźń z dwoma kolegami, którzy mieli "kartki" a nawet "loże" do teatru. Jeden z nich

był synem właściciela zakładu stolarskiego, wykonywującego pracę dla nowopowstałego teatru Polskiego, drugi, Lolek Olchowicz był infantem "Kurjera Warszawskiego"; kto pamięta Warszawę z przed poprzedniej wojny,ten wie co to znaczyło w tamtym czasie.

Jeszcze "Irydiona" wysłuchałem za własne pieniądze z galerii i nie zapomnę wrażenia nowej sali, która przez swą powagę wydała mi się naprawdę jakąś świątynią sztuki; jeszcze na "Balladynie" patrzałem zwysoka na bardzo krytykowane a mnie jakżesz zachwycające dekoracje Ruszczyca, jeszcze na premierze "Lilii" rozgorączkowany i zesnobowany piłem wzrokiem, znów przez galerię przechylony,nieznane dla mnie wtedy widowisko wywoływania autora, którym był późniejszy mój drogi przyjaciel,świetny i szlachetny pisarz Ludwik Hieronim Morstin / do dziś dnia niebardzo wierzę,że ten ówczesny i ten późniejszy są jedną i tą samą osobą/.

Ale bodaj jakoś w drugim roku istnienia teatru Polskiego po raz pierwszy z szaloną tremą zasiadłem w krzesłach i wkrótce potem byłem po raz pierszwy z rodziną Olchowiczów w loży. Teatr, nic nie tracąc dla mnie z uroku tajemniczości, stał mi się zarazem światem rzeczywistym,najbardziej pasjonującym z dostępnych mi wtedy światów. Aktorów, których widywałem dotąd tylko na scenie albo zdaleka na ulicy, mogłem odtąd widzieć zblisko, marzyć o tem, że mi podadzą rękę. Pamiętam doskonale z jakim biciem serca patrzałem przez uchylone drzwi w warsztacie ojca mego kolegi na starego Sosnowskiego, który jako reżyser przygotowywanej sztuki przyszedł na jakąś konferencję, nigdy też nie zapomnę, jakim wydarzeniem było dla mnie poznanie Or-Ota na przedstawieniu jego cudownej "Szopki".

W mojej klasie wszyscy t.zw.inteligentni uczniowie interesowali się teatrem, z pozostałych połowa przynajmniej chodziła w sekrecie na operetkę "na Messalkę"; rozmowy więc nasze o teatrze były fachowemi rozmowami starych wygów. Obsadę każdej zapowiedzianej sztuki zgóry mogliśmy mniejwięcej przewidzieć i z oburzeniem przyjmowaliśmy każdą t.zw. nie - sprawiedliwość, którą znakomicie tłumaczyliśmy sobie intrygami teatralnemi, nie mającemi dla nas żadnych tajemnic. Która z którym, jaki dyrektor, jaki krytyk w jakiej kochał się aktorce były to dla nas sprawy zarazem jasne, ważne i pasjonujące. Iluż zachwytów, iluż wzruszeń, na całe życie nieraz poruszających wyobraźnię, doznałem temi właśnie szkolnemi laty w teatrze!

Premiera w "Rozmaitościach" w pierwszym roku wojny nieokrojonego "Wesela" /przedtem bardzo skrócone dawał je Zelwerowicz w Teatrze Zjednoczonym na Bielańskiej - jeśli chcecie,mogę Wam wymienić całą obsadę!/ była wśród tych wzruszeń chyba największym wstrząsem!

Nie umiałbym powiedzieć czy to było przedstawienie idealne,choć wiem napewno,że dawniejsi aktorzy wszyscy prawie umieli mówić wiersze a wśród dzisiejszych na palcach mógłbym takich wyliczyć. Myślę jednak,że wspanialszego, bardziej szlacheckiego Gospodarza,jak Knake-Zawadzki,nie widziały sceny polskie, ani bardziej wsiowej Gospodyni niż Ordon-Sosnowska, ani Racheli bardziej wyrafinowanej jak Sulima, zarazem cudownie sztucznej i poetycznej.

Cud poezji największy obok "Pana Tadeusza", "Samuela" i "Zemsty" cud naszej poezji ożywał dzięki nim ludzki, zrozumiały, namiętny,jakże realny, jakże potrzebny a zarazem tajemniczy, rozmarzony, rozdzierająco smutny, tak przenikający duszę, że przez długie miesiące, kto wie, może podświadomie przez długie lata żyłem jakby zaczarowany przez melodię wiejską, niemilknącą w tej sztuce i przez muzykę wiersza, naprawdę, nie przez sens ale przez samą muzykę takich słów jak owe tajemnicze, które tak tajemniczo mówiła Sulima:"A tak, a tak, a tak, przez ogród pójdę, przez sad".

Tego samego roku zadebiutowałem w przedstawieniu szkolnem jako Dziennikarz w scenie ze Stańczykiem, którym był najpierw Staś Paprocki, później sławny "naprawiacz" i specjalista od mniejszości, następnie zaś Lolo Olchowicz, obdarzony potężnym głosem i dlatego używany w naszych przedstawieniach "za Węgrzyna". Pierwszy wtedy raz miałem na sobie frak, narazie w charakterze kostiumu, ale, przekonawszy się, że można go wynajmować, zacząłem to potem czynić w mniej wzniosłych okazjach, tak że owe szkolne "Wesele" pośrednio poprowadziło mnie na manowce światowości, na których później wiele czasu i zdrowia straciłem.

Lolo Olchowicz, który niezawodnie używał swego potężnego głosu i który zwykle przed wejściem na scenę pytał mnie porozumiewawczo:"Lechciku! Ryknąć?" miał swój zasłużony sukces, ja trochę z "koncepcji", trochę zaś z prawdziwej nerwowości byłem straszliwie neurasteniczny i dekadendi.

Pomimo że każdy z naszych widzów mógł w tym czasie usłyszeć w tej scenie Rolanda i Junoszę, nasz dialog uchodził długo za swego rodzaju arcydzieło i jeszcze w parę lat potem powtarzaliśmy go na jakimś przedstawieniu składanem w teatrze na Kaliksta i wtedy to zdobyłem jedyną w moim życiu recenzję jako aktor, recenzję bardzo pochlebną, choć być może powodowaną nepotyzmem, gdyż autor jej, Konrad Olchowicz, był rodzonym bratem mego partnera. "Panowie Serafinowicz i Olchowicz" pisał " w scenie Dziennikarza ze Stańczykiem wznieśli się wysoko ponad poziom teatru amatorskiego".

Wkrótce potem miałem zadebiutować jako autor dramatyczny, miałem być grany przez prawdziwych i to jakich aktorów i raz jeden, jedyny być wywołany i to nietylko na prawdziwej ale na królewskiej, cudownej scenie w Pomarańczarni.

Była to znowu protekcja, gdyż Zygmunt Olchowicz, wydawca "Kuriera", mając powierzone sobie zorganizowanie stylowego koncertu dobroczynnego na otwarcie niedostępnego przez kilkadziesiąt lat teatru, podmówiony przez swą zacną bratową a moją wielką protektorkę, zamiast zwrócić się, jak to zawsze bywało w takich okazjach do Or-Ota, powierzył mnie, szesnastoletniemu naówczas szczeniakowi napisanie patriotycznego prologu w stylu epoki, to znaczy się ze Stanisławem Augustem, Trzecim Majem, Łazienkami. Było to na dwa miesiące,bodaj, przed maturą, której widoki dla mnie na skutek głównie potwornej mej tępoty w matematyce były bardzo mgliste i której zdobycie wymagało skupionego i wyłącznego wysiłku.

Miałem głowę opuchłą od trygonometrii i geometrii analitycznej, nazwy zszarpane przez przeświadczenie,że nigdy nic z tego nie pojmę, że więc w rezultacie nigdy nie zdam matury. Ale myśl /co tu ukrywać/ że będą o mnie pisali, że będą mnie grali prawdziwi, może znakomici aktorzy, którzy zdawali mi się wtedy najcudowniejszymi ludźmi świata, że będę wywoływany w prawdziwym teatrze, że jakaś uwielbiana piękność wyprowadzi mnie na przód sceny i ja publicznie pocałuję ją w rękę, kazały mi zapomnieć o wszystkiem i rzucić się na oślep w tę awanturę, ryzykując śmieszność i powiększając szanse zostania drugi rok w tej samej klasie, co w swej ambicji uważałem za katastrofę całego życia.

Wśród potwornych męczarni, zlany potem, nie mając żadnej jako tako twórczej myśli w głowie, wśród mnożących się ostatnich, złowieszczych "dwójek", wysmażyłem nienagannym ale też i monotonnym, na poły z Wyspiańskiego, na poły z Or-Ota naśladowanym wierszem mętną historię, bez jakiejkolwiek akcji, na kilkanaście minut mówienia. Był tam i król Stanisław August i pani Grabowska, do których lekką ręką dorzuciłem księcia Józefa. Gdyby chodziło o starego pisarza można było ostatecznie zrozumieć tą przeciętność, jak na debiutanta było to, Bogiem a prawdą, zanadto gładkie i nijakie i bynajmniej nie usprawiedliwiało wyboru mej osoby.

Ale jakaś szczęśliwa gwiazda wzeszła wtedy nademną. Może z pew-

nym rozczarowaniem,przyjęto przecież moją robotę, a ponieważ chodziło o "Macierz Szkolną" i przedstawienie było patronowane przez "Kurier Warszawski" bez trudu znaleziono aktorów do grania mego dialogu, który z beznadziejnym brakiem pomysłowości nazwałem :"W pałacu Królewskim". Gdyby wyobrazić sobie, że przeminęły wszystkie nasze nieszczęścia, nie wiem jaki zaszczyt, honor, jakie wyróżnienie, o których mógłbym wtedy zamarzyć mogłyby się równać z tem uczuciem zupełnej apoteozy osiągnięcia celu życia, którego doznałem na wiadomość, że będą mnie grali Jerzy Leszczyński i Szyllińżanka.

Zdaje mi się, że realne życie nie posiada dziś darów, których cena dla mnie byłaby równą ówczesnemu szczęściu, że gdybym został /bardzo przepraszam Pana Generała Sikorskiego za ten żart/ prezesem Rady Ministrów i jednocześnie prezesem Akademii Literatury, gdybym osiągnął najbardziej trudny i upragniony sukces miłosny /proszę mi wybaczyć,że zataję o czem myślę/ i dostał do tego nagrodę Nobla nie byłoby to dla mnie dziś ani w części to samo, czem była wtedy dla szesnastoletniego ucznia świadomość, że za parę dni Łzawooka Szyllinżanka będzie mówiła ze sceny jego wiersze.

Przyszło wreszcie wyrwane z dzikich, hańbiących męczarni przednaturalnych cudowne majowe popołudnie, o którem ciągle myślałem, że w ostatniej chwili los mi je zabierze, że okaże się ono jakąś złudą, przygotowaną jak w greckiej tragedii po to, abym tem boleśniej uczuł potem moje nieszczęście.

Kuncewicz w autentycznym, z bezcennej kolekcji teatru Wielkiego, stanisławowskim fraku, Jerzy Leszczyński naówczas smukły i młodzieńczy w ułańskim mundurze i wreszcie Szyllinżanka naprawdę tak piękna jak nigdy, w srebrnej peruce, w rokokowem panier, zdobna w olśniewające brylanty i naprawdę wzruszona, mówili najpoważniej w świecie, z całym pietyzmem moje puste wiersze, a ja stojąc w kulisie Teatru Stanisława Augusta słuchałem tego i co chwila powtarzałem sobie, że nie śnię, że ci cudowni aktorzy naprawdę wygłaszają to, co ja, biedny uczeń, niepewny matury napisałem. Kiedy skończyli zabrzmiały brawa bardzo szykownej, więc powściągliwej publiczności i woźny wyniósł na scenę dwa bukiety dla Szyllinżanki, z których jeden był kupiony przeze mnie za ciężko wyłudzone z domu pieniądze. I wtedy stało się.*Szyllinżanka wzięła mnie za rękę, poprowadziła na przód sceny i jak parę lat przedtem niedościgły dla mnie naówczas Ludwiś Morstin - Przybyłko Potocką, publicznie, jak prawdziwy autor pocałowałem Szyllinżankę w rękę.

W parę dni potem olimpijski Lorentowicz, którego każde słowo było wyrokiem, po raz pierwszy wymienił w "Nowej Gazecie" moje nazwisko. Do dziś dnia umiem na pamięć tych kilka wierszy, gdyż jak owa żona pijaka z noweli Czechowa, która z dumą czytała przyjaciółkom wzmiankę w gazecie o jakiejś jego awanturze, tłumacząc im, że "on nie prosty człowiek on alkoholik" - tak i ja wtedy uważałem, że samo wspomnienie mnie przez Lorentowicza jest już swego rodzaju karierą. "Rzecz" pisał Lorentowicz niewątpliwie dobrej woli, ale w pierwszej zwłaszcza części niezdecydowana w tonie i w wyrazie".

Kiedy dziś o tem myślę mam wrażenie, że mój debiut autorski albo tak zaimponował moim poczciwym profesorom albo tak ich rozrzewnił, że jemu właśnie zawdzięczam zdanie matury, pomimo że na ustnym egzaminie w żaden żywy sposób nie mogłem wyciągnąć pierwiastka kwadratowego z dwu a do kwadratu i choć na egzaminie łącznym z przedmiotów humanistycznych, pamiętną tylko na profesora historii, mówiłem wobec późniejszego biskupa Jełowickiego, delegata Arcybiskupa takie ryzykowne rzeczy o Św.Stanisławie, że potem mego prefekta wzywano w tej sprawie do Konsystorza.

Myślę też najszczerzej, że przeżywszy takie uniesienie ambicji w

tak młodym wieku poprostu zblazowałem się i że w jakiejś bardzo drobnej części i to także podświadomie przyczyniło się, że nie starałem się potem pisać do teatru, nie mając w perspektywie żadnego już równego temu szkolnemu, wstrząsu.

Za to ani na chwilę, aż do dziś dnia nie przestałem kochać teatru, uwielbiać dobrego i w gruncie rzeczy rozczulać się nad złym, odczuwać w samym fakcie przedstawienia życia jakiegoś misterium, objawu jakichś tajemniczych, bardzo głębokich i wzniosłych instynktów. Żyrandol, zawieszony u teatralnego stropu jest dla mnie jak dla Beaudelaire'a jedną z nacudowniejszych, najbardziej do marzeń pobudzających rzeczy na świecie, budka suflera jak dla Rittnera - furtką do krainy czarów i choć to zupełnie nie jest modne przyznam się otwarcie, że ani mi na myśl przychodzi porównywać jako sztukę kino z teatrem.

Przez tych trzydzieści prawie lat, które upłynęły od owego mego dziecinnego debiutu nie napisałem, to prawda, dotąd ani jednej skończonej sztuki teatralnej i zawsze tak się składało, że coś przerywało moją karierę krytyka teatralnego w "Nowej Gazecie", "Robotniku", "Porannym" i "Czerwonym".

Ale za to byłem na Ty i piłem ze wszystkimi niemal najwybitniejszymi aktorami w Polsce, uczestniczyłem w teatrze Polskim w manifestacji na cześć Solskiego, która była właściwie kamieniem rzuconym w ówczesną dyrekcję Rozmaitości, w parę miesięcy potem z tej samej sceny, na którą się wdarłem wśród wycia podzielonej na dwa obozy publiczności, odczytałem proklamację przeciw Krzywoszewskiemu na premierze "Pani Chorążyny" za co byłem aresztowany, zwymyślałem Szyfmana publicznie w kuluarach na premierze "Czerwonego Młyna" Molnara, na skutek czego nie znaliśmy się parę lat potem zawiązaliśmy najczulszą przyjaźń, na cały głos razem ze Słonimskim śpiewałem i gwizdałem na premierze "Cherubina z piekła" Germana, byłem za kulisami na każdem ze dwustu przedstawień "Brata marnotrawnego" w którym grała Marysia Brydzińska, płakałem prawdziwemi łzami na idiotycznym "Niebieskim lisie" w chwili, gdy krzywdzono ohydnie Alinę Gryficz-Mielewską, założyłem "Balet polski" i... Kornel Makuszyński w największym rozkwicie swej sławy pisał o mnie /z oczywistą przesadą/: "Kochanek dziewięciu Muz i jedenastu aktorek".

No dobrze, spytacie się teraz, wszystko to jest może zabawne i dla Pana wzruszające, ale co to nas obchodzi i co to ma wspólnego z nowym powstającym tu, w New Yorku teatrem, z naszemi aktorami, którzy go tworzą i którym należy się jakieś gorące słowo o nich samych, jakieś wezwanie do publiczności, aby przyszła do tego teatru, aby przychodziła do niego zawsze aby oceniła ich piękne talenty, zapał i pracę w tak trudnych podjęte warunkach, aby zrozumiała jak wdzięczne na zadanie przed sobą umożliwiając teatrowi polskiemu przetrwania na Obczyźnie i powrót do Polski w pełni nowego rozwoju, ze zdobyczami, wyniesionemi z prowadzonej tu pracy.

Otóż myślę, że to, co tutaj tak rozwlekle i bezładnie napisałem jest to przypomnienie, czem teatr w Polsce był dla nas, jakim był wzbogaceniem, jaką poprostu częścią naszego życia, jakie budził pasje i jakie głębokie uczucia, jest to wytłumaczenie, jakiem dobrem w naszem życiu teatr być może.

Nasze świetne artystki i ich dzielni koledzy, biorący się teraz z takim zapałem do pracy są częścią, są pięknym odblaskiem tego cudownego teatru, są jego symbolem i jeśli ich poprzemy, stać się mogą i powinni na najwyższą miarę swej możności jakby jego dalszym ciągiem, arką przymierza pomiędzy tą wspaniałą przeszłością i przyszłym odrodzeniem.

Jan Lechoń

Z Izajasza.

Spustoszały drogi,przestano ścieżką chodzić; złamał przymierze,znieważył miasta, a człowieka za nic sobie nie ma.
Płakała i zwątlała ziemia; zawstydzony jest Liban i uwiądł; Saron się stał jako pustynia,i otłuczono Basan i Karmel.
Teraz powstanę,mówi Pan,teraz się wywyższę,teraz się podniosę. XXXIII, 8,9,10.

Więc powstań, podnieś się i wywyż,
Panie oczekiwany,
Na ziemię wstąpił z piekła przybysz,
Rozdziela śmierć i rany.

Uwiędłe cedry Libanonu
Porusz, niech nam odrosną
Drzewa świątyni twej i tronu
Zmartwychpowstałe wiosną.

Dęby ocucą się - prorocy
Życia nieprzerwanego,
Poświeć umarłym, wyjdą z nocy
Na wieczność dnia twojego.

Z gór otłuczonych, skąd się świeci
Zaćmione wstydem słońce,
Matki nam sprowadź, ocal dzieci
Niewinne i słabnące.

W polach otwarły się pustynie
I ciągnie piach ruchomy,
Wstrzymaj tę zgubę, niech ominie
Ostatnie nasze domy.

W ruiny wstąp, gdzie potrzaskany
Twój pomnik mchem porasta,
Spójrz na królewskie nasze ściany
I znieważone miasta.

Wyschły nam źródła, wyschły usta,
Obmyj spragnione wargi,
Bo rozpacz siada na nich pusta
I czarne są od skargi.

Ziemia płakała i zwątlała,
Pobita z nienawiści,
Spraw niech się stanie twoja chwała
I moc się rychło ziści.

Piorunem rzuć w to zło bez granic,
Które się szerzy z wroga:
Człowieka sobie nie ma za nic
I za nic nie ma Boga.

Kazimierz Wierzyński

I l u z j e .

Typowym przykładem nagminnego niedoceniania grozy wojny a przedewszystkiem przeciwnika jest wyświetlany ostatnio głośny film Errola Flynna "Desperate Journey". Pięciu lotników angielskich po przymusowem lądowaniu na granicy polskiej, przebija się pięścią i rewolwerem przez całe Niemcy i Holandię - do Anglii. Niepravdopodobność teatralnych sytuacji, dochodząca do szczytów absurdu w podróży lotników do Berlina...salonką Goeringa,jest mniej groźnym objawem tępoty od dziecinnego optymizmu łatwej walki o zgóry wiadomym wyniku, jaki przebija się z każdej sceny tego szkodliwego obrazu. Na zwycięskiej drodze pięciu muszkieterów wylatują w powietrze mosty i fabryki amunicji,plutony wojska i Gestapo rozbrajają nasze zuchy w oka mgnieniu,by w finale holywoodskiej bajki o nieudolności niemieckiego żołnierza opanować w trójkę...lotnisko wojskowe,do którego dotarli magicznym samochodem-amfibią.

"Desperate Journey" nie jest pomysłem oderwanym od gruntu,zbrodniczym bezsensem,lekceważeniem wroga,błędem biegunowo odmiennym od defetyzmu choć również szkodliwym. Jest znakiem czasu. Tego samego dnia słyszałem od "dobrze poinformowanego" emerytowanego polityka emigracyjnego, że Niemcy znajdują się w przede dniu rewolucji."Dobrze poinformowany" przedstawiał nam jako dowody znany artykuł o klepsydrach żołnierzy niemieckich,wywiad z Grzesińskim z okazji ogłoszenia programu politycznego "Wolnych Niemców",streszczenie odczytu H,Rauschninga w Detroit i na podstawie własnych statystyk o słabnącej sile urodzin w Rzeszy obliczył datę załamania się narodu niemieckiego.

Fala lekkomyślnego optymizmu,wiary w zwycięstwo bez walki,ostatnio rozbujana oporem stalingradzkim,ma swoją niechlubną kartę w dziejach tej wojny i winna być tępiona jako broń piątej kolumny w rękach szaleńców. Poraz pierwszy świadomie przez niemiecką propagandę lansowana wiadomość o przelocie eskadr angielskich w czasie kampanii wrześniowej,obliczona na późniejszy bolesny zawód rozczarowania w oblężonej Warszawie - była metodą "psychological warfare",mistrzowskim chwytem stratega. Opowieści Grzesińskiego i Segera o podziemnej akcji socjalistów niemieckich,rewolacje Rauschninga czy Bruenninga o "partii generałów", z którą się ponoć codzień kontaktują via Szwajcaria - są rozpaczliwymi aczkolwiek,niestety, nie bezskutecznymi wysiłkami utrzymania prestige'u politycznego na terenie Washingtonu i Londynu i wygrania osobistych atutów w przyszłości. Tu i tam motywy są jasne i znane a fakt świadomego lansowania pogłosek,nie odpowiadających prawdzie - nie podlega dyskusji.

Sytuacja staje się poważna, gdyż plotka nabiera krwi i ciała i to nie przez istotę wiadomości o zbliżającej się rewolucji w Niemczech, ale przez masowy jej epidemiczny kolportaż. Mimo ciężkich dni i nocy na kilkunastu frontach alianckich, mimo olbrzymiego rosnącego z godziny na godzinę wysiłku zbrojnego Zjednoczonych Narodów,mimo wielkich klęsk i małych zwycięstw - wzrasta stale klan utopistów,wierzących w wojnę bez wojny,niekrwawe zwycięstwo,w okupację bezbronnego Berlina,na którego ulicach walczyć będą Niemcy z Niemcami. Ich dobra wiara i złe przygotowanie polityczne a nadewszystko subjektywne operowanie własnemi optymistycznemi przesłankami nadziei i przepajanie tą nadzieją każdej plotki - paraliżuje w pewnej części wysiłek wojenny i stawia ich w rzędzie nieświadomych agentów piątej kolumny.

Analizując bowiem sytuację w Rzeszy na podstawie rozmów z osobami,przybyłemi świeżo z Niemieć oraz tamtejszej i neutralnej prasy, trudno - przynajmniej jak dotąd - napotkać na jakiekolwiek poważniejsze oznaki załamania się narodu niemieckiego. Zdyscyplinowany do ostatnich gra-

nic mechanizacji,przyzwyczajony do kartek żywnościowych i nadludzkiego wysiłku zbrojeniowego od r.1934,przetrzymuje dotąd straty ludzkie na froncie i w bombardowanych miastach bez większych wstrząsów,które mogłyby stworzyć fundamenty przyszłej rewolucji. Wbrew dziesiątkom świadomie fałszujących prawdę artykułów w nowojorskiej "Die Neue Volkszeitung" zbyt często cytowanych w prasie amerykańskiej i angielskiej - nie ujawnia się bynajmniej w narodzie niemieckim tęsknota do demokracji,która po-wersalskim Niemcom przyniosła tylko głód i walki uliczne, dyktatura Hitlera dała im więcej,bo Europę od Calais po Kaukaz,możność gigantycznego łańcucha rabunków i wyzwolenie fryderykowskiego ducha imperializmu,poraz pierwszy od stuleci nasyconego terrorem i milionami niewolników. Czy Francuzi nawet w dniach Waterloo przeklinali Napoleona,który za swoich piękmych lat rzucił im pod stopy Europę i - pozwolił ją eksploatować?

Ostatnie przemówienie frontowe Hitlera,słynna mowa Alfreda Rosenberga o możliwości trzydziestoletniej wojny,stała,konsekwentna kampania Goebbelsa,której celem jest przygotowanie Niemiec do przejścia z blitzkriegu do epoki Wallensteina - świadczą wymownie o tem,że Trzecia Rzesza zdaje sobie sprawę z sytuacji.

Horst Michael w "Muenchner Neuste Nachrichten" pisze ostatnio, reasumując wyniki swych obserwacji na terenach najsilniej bombardowanych terenów Nadrenii:"...naloty na nasze miasta są ostatnią próbą zaszczepienia od zewnątrz haseł rewolucji,bo nie może ona wybuchnąć od wewnątrz... nie damy się już pozbawić owoców naszej wschodniej kampanii. Tam są tereny i bogactwa,praca i siły robocze:nasz kraj o nieograniczonych możliwościach..."

Marzenia o rewolucji w Niemczech są przedwczesne. Nie dlatego,że tak twierdzi urzędowy dziennikarz,minister czy generał niemiecki - ale dlatego,że psychika narodu niemieckiego nie dojrzała jeszcze do walki o prawa ludu i postęp,walki nawskroś demokratycznej w swej treści i istocie - więc przeciwnej tym,którym się zawsze lepiej powodziło w epokach zwycięskiej dla Rzeszy dyktatury totalnych władców-imperialistów.

"Dobrzy Niemcy" znajdują się tylko na emigracji. Zawiedli oni swój naród,nie dając mu się wyżyć ani w sadyzmie ani w masochiźmie a ich pium desiderium rewolucji nie może stać się narkotykiem dla narodów,przygotowujących się po latach monachijskich utopij do naprawienia błędu ulotek nad Berlinem - dobrze wycelowaną bombą.

<u>Jerzy Tepa</u>

<u>N a O k s y w s k i e j K ę p i e</u>.

Opowiadanie.

Oksywska kępa tonęła w morzu ognia. Trzęsła się w posadach i rozpryskiwała pod smaganiami,spadającymi od strony morza,z powietrza i lądu. "Schleswig Holstein",który na kilka dni przed wojną przybył "z wizytą"do Gdańska,wysyłał teraz swe "bilety wizytowe". Eskadry bombowców falami podrywały się z baz,oddalonych o kilkanaście kilometrów i brukowały pękającym żelastwem wrzynający się w morze cypel. Artyleria lądowa,ustawiona w Gdańsku,huczała po tysiąckroć i złowrogimi refleksami odbijała w wybuchach od murów miasta,co to "ongiś nasze"...A jeszcze wokół,gęstym pierścieniem,wżerały się w bastion oporu i poświęcenia lotne a szybkie mewy śmierci - pociski karabinów maszynowych.

I pod tą kopułą,zewsząd ogniem zamkniętą,polscy marynarze i piechurzy,dzień po dniu dziesiątkowani,dopełniali przysięgi,zawartej w słowach pieśni:

"Morze,nasze morze,wiernie ciebie będziem strzec"...

Daleko i poważnie grzmiała forteca na Helu,a z echem jej podniosłej deklamacji szło żywe wspomnienie Westerplatte:

"Mamy rozkaz się utrzymać,albo na dnie z honorem lec..."

\- - -

Porucznik P.trwał ze swoją kompanią w okopach pierwszej linii. Kilkakrotne ataki piechoty niemieckiej,poprzedzane huraganowym ogniem artyleryjskim,niewiele wzbudzały emocji zarówno w nim,jak i w jego ludziach. Byli czujni i groźni,a pod skrzepłą skorupą kurzu i potu,pokrywającą twarze,nie drgnął najmniejszy mięsień.Słuch przestał reagować na wybuchy. Tylko zapadający zmrok,tak jak wczoraj i onegdaj zahypnotyzuje błyszczącą smugą świetlnych pocisków. Przyciągnie oko,czuwaniem zmęczone i wargi złoży w słowa przekleństwa.

Porucznik klął z przyzwyczajenia.Wyrazy te,twarde i szorstkie, obejmowały żołnierskie dusze we władanie.

"Marynarz - szeptali między sobą - nie potrafi już inaczej".

A on wcale nie chciał inaczej. Słowa brzmiały,jak warczenia uwięzionego na łańcuchu brytana. Noc po nocy zrywał hamulce rozwagi i z paroma ludźmi czołgał się jak wąż bezszelestnie pod nieprzyjacielskie stanowiska.Wracał w świetle rakiet,a wybuchy i błyski granatów mieszały się z odgłosami paniki wśród nieprzyjaciół.

\- - -

Przez gęste kłęby dymów ledwie przedzierały się ostatnie rdzawe błyski zachodzącego słońca.Ostatnia tego dnia eskadra bombowców,poszczerbiona i przerzedzona,zniżała swój lot nad Gdańskiem. Rozgrzane lufy dział krążownika zdawały się drżeć w złudnej poświacie zachodu. Lądowy pierścień baterii wypluwał ostatnie pociski. Rój brzęczących os jakby przyległ do ziemi i trwał w niemym oczekiwaniu. Huraganowy ogień,co przez cztery godziny orał bez przerwy każdą piędź oksywskiej gleby,zacichał. Na przedpolu ukazały się rozpływające się na tle nadciągającej nocy cienie ludzkie. Natarcie szło na całej linii. W ciszy i ciemności. Szły oddziały szturmowe,uzbrojone po zęby. Zbliżały się bez zbytniego lęku. Bo któżby się ostał po takiej ulewie żelaza i ognia? Ci zaś,którzy zostali,stracili na pewno ochotę do walki!

Co wieczór tak szły i za każdym razem z przed okopów polskich wycofywały się,zdziesiątkowane.Lecz dziś z pewnością będzie inaczej. Wytrzymałość ludzka ma przecież swoje granice.

I miała rzeczywiście, ale na miarę polską.

Białe rakiety,jak pęki świeżego kwiecia,wykwitły z okopów i rozśpiewały się karabiny maszynowe. Na krótko jednakże. Urwały nagle.

"Oszczędzaj amunicję!"- brzmiał rozkaz dnia poprzedniego.- Bagnet na broń! - przeszedł stugębnym głosem rozkaz nowy,dzisiejszy.

"Skook!" - Umęczone płuca z trudnością wciągały powietrze. Nogi jakby nie własne,sztywne,drewniane od ciągłego stania i bezruchu,zataczały się po nierównym terenie.

"Biegiem marsz!"- Już całe ciało podporządkowane nakazowi woli.

Pędzi jak burza taran,najeżony stalowymi ostrzami. Padają strzały. Znów rakiety z obu stron. Widno jak w dzień!

W odległości 20 kroków nieprzyjaciel drgnął i zawrócił. Widać teraz w niepewnym świetle rakiet i wybuchów ich wstrząsane od wytężonego biegu plecy. Wywiązuje się szereg krótkich i łatwych starć. Pardonu nie ma. Huk dział na nowo wstrząsa powietrzem. To sygnał do wycofania się, to znak,że artyleria wroga wznawia ostrzeliwanie okopów.

Nasi wracają,a tuż przed nimi żywe,kotłujące się piekło wybuchów.

Tak było wczoraj i onegdaj. Jest dzisiaj i będzie jutro. I jak jeszcze długo? Rozpacz rwie serca żołnierskie. Ach,żeby móc kłuć bagnetem bez przerwy! Wykłuliby drogę do zwycięstw,choćby z ostatnim pchnię-

ciem przyszło wyzionąć duszę. Siła woli już tylko trzyma w karbach skołatane ciało.

Został im jeszcze porucznik i jego twarde słowa. Szukają go niespokojnymi oczami. Jest,jest! Nie zginął! I znowu otucha wstępuje w serca. A porucznik,ciężko dysząc,przystanął na krawędzi okopu i patrzy w to miejsce,skąd lecieć poczęły jękliwo świecące osy,co kąsają śmiertelnie. Szał niszczenia,w obłędnym gniewie,wdarł się znowu na cypel oksywski. A mimo to zasypia żołnierstwo,bo to jedyny bezpieczny czas na spanie bez obawy zaskoczenia. I tak we śnie,bez jęku,zmieniają swój doczesny przydział...

\- - -

O północy natężenie ognia osłabło. Porucznik przemykał chyłkiem przez torfowiska. Trzy cienie trzymały się w małej za nim odległości. Szli szybko,a gęsta zasłona nocy wessała ich tak,że znikli już w odległości kilkunastu kroków od okopów. Drobny deszcz tłumił odgłosy.

Pociski armatnie padały już za nimi i ogień maszynek szedł bokiem. Torfiasta łąka uginała się pod stopami. Na czoło wysunął się jeden z żołnierzy, Kaszub K. Prowadził pewnie. Błoto sięgało kolan,chwilami zapadali po pas. Wydobyli się wreszcie na twardy grunt. Na drogę. Skryli się w rowie. I krok za krokiem, prawie bez tchu,posuwali się dalej.Ciężkie kroki patrolu zadudniały tuz przy głowach. Lecz był zbyt pewny siebie i mało czujny.

Przewodnictwo ponownie objął porucznik. Prowadził do wyraźnie widocznego celu. Za niewielką barykadą z kamieni dławił się ciągłym ogniem niemiecki ckm.

Nadchodzące cienie zatrzymały się na chwilę,a potem jak jastrzębie spadły na upatrzoną zdobycz. Szamotanie nie trwało długo. Zgrzytnął bagnet,rozległ się zduszony charkot, ckm nagle umilkł. Oczy potwora zgasły. Tego potwora,co jarzącymi ślepiami przekłuwał swoje ofiary,co żyjącym targał nerwy na strzępy.

Poderwały go z ziemi silne ręce,a w godzinę później drżał z radości w służbie u nowych panów.

Następnego dnia natarcia niemieckiego nie było,natomiast artyleria biła bez przerwy. A porucznik, pozazdrościwszy laurów Kmicicowi,znów poprowadził wycieczkę. Tym razem tylu wziął ludzi, że możnaby działo przyciągnąć. Lecz ledwo wychynąwszy z okopu padł, ugodzony furczącym zjadliwie odłamkiem pocisku.

Wierni żołnierze z płaczem przyciągnęli ciało. Żył tylko jeden dzień krócej, niż zamierzał, bo nazajutrz Oksywie skapitulowało.

"Dzień kapitulacji - mówił - jest dniem mojej śmierci. Powiedzcie mojej żonie, że inaczej postanowić nie mogłem. Nic to...powiedzcie".

Bo w jego szlachetnej duszy, jak w zwierciadle, odbijały się obrazy Kmiciców, Wołodyjowskich, Skrzetuskich. W ich rzędzie stoi ten gdyński zagończyk z piersią przystrojoną czarno-niebieską wstążeczką.

Bron.Gub.